No. 1. [1869]

RZEMIEŚLNIK POLSKI.



ERYK, PODDANY

ERYK, PODDANY.

Prawdziwa Powiastka.

"Eryku," rzekł pewien hrabia do wiernego sługi, "dziś wieczorem jeszcze udajemy się w podróż; każ czém prędzéj zajeżdżać, bo nie mamy czasu do stracenia."—Za kilka minut wszystko gotowe było do wyjazdu; hrabia, małżonka jego i dziecię wsiedli do karety—Eryk wskoczył na kozioł, i zostali uniesieni pędem dzielnéj piątki. Noc była jasna i gwiaździsta—spokojnie więc dojechali do stacyi pocztowéj, gdzie świeżych mieli dostać koni, chociaż śnieg głęboki utrudzał drogę i biédne zwierzęta prawie upadały ze zmęczenia. Późno też było już, i pocztmistrz namawiał hrabiego, żeby się przez noc zatrzymał.—"Bo," mówił on, "nie tylko ostre panuje zimno, i drogi w skutek gęstéj zamieci śnieżnéj zepsute, ale co gorsza, wilków mnóstwo w okolicy; od kilku tygodni nie wiele mogły one znaleźć pożywienia, i tego właśnie wieczora słyszeliśmy ich wycie w pobliskich lasach. Nie dawno temu otoczyły dom nasz i z wściekłym rykiem domagały się zdobyczy. Nie śmiałem otworzyć drzwi, gdyż śmierć niezawodna i okropna byłaby mnie spotkała—ale patrzałem przez okno, i nigdy tego widoku nie zapomnę; blask tych dziko iskrzących się oczu jeszcze mnie wstrętem napełnia i przerażeniem; dopiero nad ranem opuściła nas ta krwi pragnąca horda."

Na te słowa głęboko zadumał się hrabia—dla siebie nie obawiał się niebezpieczeństwa, ale drżał o życie swéj żony i jedynego dziecka. Trwało to jednakże tylko chwilę; chmura znikła z jego czoła, i odpowiadając na usilne pocztmistrza prośby, rzekł: "Chcę przynajmniéj do przyszłéj stacyi dojechać—mam ja poczciwego sługę i dobre pistolety; daj mi pan tylko najprędsze i najdzielniejsze z twéj stajni rumaki." Wkrótce najlepsze konie zaprzężone były do powozu, Eryk wskoczył na swoje miejsce, pewną dłonią ujął cugle i jednym zamachem długiego bicza zachęcił ogniste koniki do biegu. I tak minęli nasi podróżni jednę milę za drugą wśród téj samotnéj okolicy, któréj głęboką, jakby grobową ciszę przerywał jedynie odgłos dzwonków, przyczepionych do chomąt koni.

Nareszcie wjechali do Rustowskiego lasu—dokoła było ciemno, głucho i pusto; wysokie jodły wznosiły swe ostre wierzchołki do nieba, zasłaniając gwiazdy, które dotąd podróżnym świeciły. Droga ich prowadziła wzdłuż tego lasu—a za każdym czasu postępem krajobraz stawał się coraz więcéj ponury i opuszczony. Każdy wstrzymywał oddech, bo tu właśnie miało się znajdować miejsce nawiedzone przez owych złowrogich wilków, i jak wieść krążyła między ludem, niejeden już zginął w samotnym Rustowskim lesie. Ale to oczekiwanie trwało zaledwie chwil kilka—wkrótce dało się słyszéć okropne wściekłéj hordy wycie. Czujne wiernego Eryka ucho poznało od razu, że nie był to wiatr szumiący między drzewami lub w sąsiednich górach — wiedział on, że to ryk zgłodniałych wilków, i że czeka ich teraz walka o życie lub śmierć.—Obróciwszy się na siedzeniu, zapukał do okienka karety i zawiadomił swego pana o téj smutnéj rzeczywistości; hrabia na to, starał się uspokoić swą małżonkę, mówiąc jéj między innemi: "Nie obawiaj się niczego, póki całą ufność twą w Bogu położysz." Zatrwożona hrabina, w milczeniu wysłuchawszy téj rady, pochyliła się z dzieckiem w głąb powozu, polecając męża, lube dziecię i siebie miłosiernéj opiece Wszechmocnego Boga.—Konie tymczasem, zachęcane biczem i głosem odważnego Eryka, pędziły z całych sił rączych swoich nóg. Wierny sługa myślą mierzył niebezpieczeństwo, w którém się znajdowali—wiedział on, że wilki już wytropiły ich ślady, że trzeba albo uciec przed niemi, stawić im czoło, lub zginąć.—I bliżéj, wyraźniéj, okropniéj niż pierwéj powstał dziki ryk krwawéj hordy, już dawał się słyszéć odgłos jéj biegu; kilka minut więcéj—i wilki dogoniły podróżnych. Wprawdzie w pierwszéj chwili, przerażone blaskiem latarni, zawróciły się znowu i zdawały się chcieć odstąpić od walki—ale nie długo powzięły odwagę i po raz drugi otoczyły podróżną karetę. Przy świetle latarni widać było czerwone ich języki, wywieszone z pieniącéj się paszczy, oczy dziko wytrzeszczone, i kości sterczące, zaledwie skórą pokryte. "Eryku," krzyknął hrabia, "musiemy się uciec do pistoletów, celuj dobrze i strzelaj!" Za chwilkę najśmielszy i najzajadlejszy zwierz tarzał się w swéj krwi na śniegu. Huk wystrzału i śmierć ich przywódzcy znowu odstraszyła zgłodniałych i szalonych wilków, które pędem puściły się do lasu, nie skosztowawszy nawet krwi zabitego towarzysza.—Za kilka minut jednakże, ochłonąwszy z przestrachu, wróciły, straszniejsze jeszcze jeżeli można przez niepowodzenie; a gdy i tą razą jeden z nich padł rażony ręką niezmordowanego Eryka,—zatrzymały się wprawdzie na chwilę, ale już nie uciekły jak przedtém. Przyprowadzone do wściekłości przez głód i opór, postanowiły nie opuścić swéj zdobyczy, i znów się przybliżyły z wyszczerzonemi zębami i przeraźliwym rykiem. "Cóż tu teraz robić?" pomyślał Eryk; odpędzić wilków zdawało się niepodobieństwem, a znaczna jeszcze przestrzeń oddzielała ich od przyszłéj stacyi—gdy wtém wpadł na pomysł, żeby rzucić na śnieg kawał drzewa przymocowany sznurem do powozu, i ciągnąć z wielkim hałasem za sobą. Ale wszystko naprôżno—wilki wkrótce spostrzegły ten podstęp, i niezrażone wcale, ponowiły napaść z większą jeszcze zajadłością. Podróżni nie taili przed sobą, że teraz wszelka ucieczki nadzieja znikła, i że nie obejdzie się bez krwawéj ofiary. "Spuszczaj przedniego konia!" krzyknął Eryk do drugiego służącego — i biédne przerażone zwierzę, odczepione od powozu, skoczyło na bok; ale nim jedna upłynęła chwila, cała zgraja rzuciła się na nie i porwała na niezliczone kawałki. Krwawa ta jednak uczta, zamiast zaspokoić wilków głód, zaostrzyła go jeszcze; zostawiając zatém obgryziony szkielet koński, udały się w pogoń za podróżnymi, którzy tymczasem zyskali milę przeszło drogi. "Czy to," zapytał hrabia wiernego sługi, "szum wichru pomiędzy drzewami, lub téż znowu wilków okropne za nami wycie?" Eryk doskonale poznał ryk ich złowrogi, i w milczeniu przysłuchiwał mu się, nim pan jego przemówił, nie chcąc powiększyć trwogi drogich mu państwa—zaledwie odrzekł te słowa: "Są to wilki, jaśnie panie," gdy otoczyły na nowo karetę, podwójnie straszne i odrażające przez świeżą krew, pokrywającą paszcze ich, szyje i łapy.—Wkrótce i drugi koń, oderznięty, szukać musiał ratunku w ucieczce—ale niestety krzyk rozdzierający przyniósł podróżnym wieść o smutnym jego końcu; lecz i to nie zadowolniło wilków.... zdawały się pragnąć koniecznie krwi ludzkiéj, i postanowiły ją otrzymać téj nocy. Eryk popędzał biczem konie do prędszego biegu; lecz wszystko nadaremnie, za dziesięć minut zgłodniała horda znów dała się słyszéć. "Jakże teraz postąpić?" pomyślał dobry sługa—"pozostałe konie stanowią jedyny środek ratunku dla ukochanego pana, pani i maleńkiego paniątka; gdyby i te pożarte były przez wilków, niepodobna by się dostać do stacyi, któréj blade światełko już widać z daleka. Pozostaje mi jeden tylko środek i tego użyję!" Było to: stawić samemu wilkom czoło!—Zapukawszy o okienko powozu, zawiadomił hrabiego o swym zamiarze, prosząc go jedynie, żeby w razie jego śmierci pamiętał o jego żonie i dziecięciu w domu. Nie było czasu do stracenia—każda chwila była drogą; Eryk, zeskoczywszy z siedzenia z pistoletami w ręku, wystrzelił raz jeden—drugi—ale trzeciego strzału nikt nie usłyszał...... dokoła panowała grobowa cisza: wilki porwały mężnego, wiernego Eryka; wkrótce już go w tym świecie nie było. Ludzka ta ofiara zaspokoiła wściekłą wilków zajadłość—podróżni więc nasi, już daléj nie ścigani, szczęśliwie przybyli do stacyi, któréj gościnne światło ze wzgórza spostrzegli.—Tam to przenocowali, złożywszy Bogu gorące dzięki za ocalenie od śmierci okropnéj; ale obawa o dobrego sługę nie pozwoliła im zmrużyć powiek. Nareszcie poranek zaświtał, ale wraz z nim i pewność smutnego Eryka losu: o kilka kroków od miejsca, gdzie wyskoczył z karety, leżały pistolety jego—a na śniegu krwią zbroczonym widać było ciężkiéj walki ślady. Ciało zaś jego rozszarpane, uniesione zostało przez wilków do lasu.—Taki był opłakany a bohaterski koniec mężnego Eryka! Szlachetny pan jego, w dowód wdzięczności za zdumiewające poświęcenie i zaparcie się siebie nieszczęsnego poddańca, wznieść na miejscu jego zgonu krzyż z następującym z Pisma Świętego napisem: "Większéj miłości nad tę żaden nie ma, jedno gdyby kto duszę swoją położył za nieprzyjaciół swoich." Krzyż ten dotąd jeszcze istnieje, i niejeden podróżny przeczytał napis jego ze łzami w oczach.

Czyż kiedy w dawnych lub późniejszych czasach widziano taką miłość chrześciańską pomiędzy ludźmi? Czyż kiedy świat zapatrywał się na miłość pobożnie do Eryka, ruskiego poddanego?—Tak jest, Biblia powiada nam o miłości czystszéj, większéj, potężniejszéj jeszcze—o miłości Chrystusa! Eryk był poddanym—a Jezus, Synem Najwyższego, Królem królów i panów Panem. Pierwszy winien był swemu panu wdzięczność jako sługa—ale my jako grzesznicy najmniejszéj nad drugim nie mieliśmy władzy. Hrabia był przyjacielem Eryka—my zaś Zbawiciela naszego wrogami; a jak mówi Apostoł Paweł w liście do Rzym., rozdz. v, wier. 7 i 8: "Choć ledwieby kto umarł za sprawiedliwego, wszakże za dobrego snadźby się kto umrzeć ważył. Lecz zaleca Bóg miłość swoją ku nam, że gdyśmy jeszcze byli grzesznymi, Chrystus za nas umarł."—Eryk wiedział, że gdy polegnie w obronie drogich mu osób, pan jego spełni ostatnią wiernego sługi prośbę i nie zapomni o owdowiałéj żonie i biédném jego dziecku. Ale jakąż mógł Chrystus osiągnąć korzyść przez śmierć swoją za nas? Nie mogło go to ani wywyższyć, ani do większéj podnieść chwały. Miłość więc Zbawiciela jedynie i prawdziwie jest wzniosłą, w świętéj swéj czystości i potędze—żadna miłość ludzka z nią się porównać nie zdolna. Chrystus nie tylko poniósł za nas na krzyżu bolesną i haniebną śmierć, ale poniósł ją ze zdumiewającém poddaniem się i pokorą. Wielbiony przez aniołów Syn Stwórcy Wszechświata, stał się dla nas dziecięciem w Betleemie, i tak ubogiém, że w stajence był złożony, w nędznym żłobku na słomie. Pan panów zstąpił niżéj od zwierząt polnych i ptaków powietrznych, bo jedne miały jamy swoje, a drugie gniazda—On zaś wędrował po téj ziemi, która jego była własnością, wśród szyderstw ludzi, bez schronienia, bez łoża do odpoczynku po trudach, niemal bez pożywienia. A jakiż był jego koniec? Oto po życiu pełném cierpień, prześladowań i pracy, czekała go owa walka duchowa w ogrodzie Gethsemane, śmierć krzyżowa, haniebna na górze Kalwaryi, i nareszcie nędzny w grobie Józefa spoczynek. Czyż miłość podobna istniała kiedy? O nie! Miłość Chrystusa jest to słońce, przed którego blaskiem zaćmiewającym, wszystkie mniejsze światła gasną i znikają—jest to rzeka połykająca małe strumyki ludzkiéj i ziemskiéj miłości—ocean bezdenny, niezmierzony, którego głębi ani granic człowiek nigdy nie dosięgnie. Jedném słowém, miłość Chrystusa "przechodzi pojęcie"; rozum ludzki nie potrafi zrozumiéć jéj ani określić, a serce dostatecznie ocenić nie zdolne.

A my, jakże się wywdzięczamy za tę miłość?—Hrabia wystawił wiernemu Erykowi pomnik w kształcie krzyża z powyżéj przytoczonym napisem, który do dziś dnia, wśród téj samotnéj drogi i głębokich śniegów, opowiada nam wzruszające sługi poświęcenie i nigdy nie wygaśnie pana jego wdzięczność. Bez wątpienia powieść o bohaterskim Eryku przechodzi od pokolenia do pokolenia między potomkami szlachetnéj hrabiowskiéj rodziny, ocalonéj przez zdumiewające poddanego przywiązanie.

Ale, pytam powtórnie, czémże dowiedliśmy naszą wdzięczność za tę wielką miłość, którą nas Zbawiciel ukochał,—któréj ani wody zalać, ani ogień zniszczyćby nie mógł? O! czyż miłujemy Chrystusa, jak powinniśmy—czyż męka Jego nam drogą, a imię złoném na nas namaszczeniem? Cenimyż śmierć Jego jako jedyny środek, który nam dał żywot wieczny—z radością Mu ufamy, mówiemy o Nim, i staramy się naśladować Go? Czyż nareszcie przyjęliśmy Go naprawdę jako Zbawiciela naszego, stali się Jego uczniami, i spełnianiem przykazań Bożych, dowiedli nasze doń przywiązanie? "Przez to znamy iż miłujemy dziatki Boże, gdy Boga miłujemy i przykazania jego chowamy." Chrystusa powinniśmy kochać nadewszystko, rozkazy Jego miéć zawsze w pamięci i w sercu, bo któż więcéj dla nas uczynił i poświęcił niż Jezus, ten Baranek Boży, który zgładził grzechy świata, pogodził nas ze Stwórcą, zepewnił nam zbawienie—spokój sumienia—odpuszczenie grzechów—zwycięztwo nad śmiercią i grobem—przystęp do sądu i nieba.—Gdyby nie Chrystus, śmierć i potępienie wieczne byłyby naszym udziałem; żaden dobroczyńca ziemski, żaden przyjaciel lub krewny nie powinien być sercu naszemu równie drogi jak Zbawiciel;—wszystkie bowiem ich łaski i dowody przywiązania—życie nawet za nas oddane w chwili niebezpieczeństwa, byłoby niczém do poświęcenia Syna Bożego, który obok śmierci krzyżowéj, śmierci okropnéj i haniebnéj, znieść musiał słuszny sprawiedliwego Boga gniew za grzechy ludzkie.—Czyż więc kiedykolwiek możemy się Chrystusowi wywdzięczyć? Wszystko co posiadamy: czas, zdolności, władzę i majątek,—powinniśmy złożyć u stóp Jego błogosławionych, i oddać Mu duszę naszą, ciało i umysł "jako ofiarę żywą, świętą, przyjemną Bogu, to jest rozumną służbę waszą." (Rzym., xii, 1.) O każdéj dnia godzinie stać nam powinien przed oczyma obraz umierającego Chrystusa Pana, ażeby zastósować do nas można słowa Apostoła Pawła w II liście do Koryn., rozdziale v, wier. 14 i 15: "Albowiem miłość Chrystusa przyciska nas, jako te, którzyśmy to osądzili, iż ponieważ jeden za wszystkich umarł, tedy wszyscy byli umarłymi, a że za wszystkich umarł, aby ci, którzy żyją, już więcéj sobie nie żyli, ale temu, który za nich umarł, i jest wzbudzony." Całe nasze na téj ziemi zadanie zawarte jest w tych słowach: spełniać wolą Chrystusa, wyznawać i głosić Jego wiarę—popierać sprawę, i wielbić imię Jego święte. Najusilniejszém staraniem naszém być powinno: żyć tu z Nim w zgodzie—najgoretszém życzeniem, dlań umrzeć—a jedyną radosną nadzieją, połączyć się z Nim na wieki w niebie! A jednak, pomimo że wszystko niczém jest w porównaniu do tego co Zbawiciel dla nas uczynił i cierpiał—nie dajmy się zrażać tą myślą, i poświęćmy Panu wszystko czém jesteśmy, wszystko czém być możemy.

ZNIEWAŻENIE BOŻEGO DNIA.

Kilka lat temu za pobytu mego w fabryczném miasteczku, spotkałem, wracając w Niedzielę wieczorem po spełnieniu duchownych obowiązków do domu, jakiegoś człowieka, który chociaż pijany, chciał wejść ze mną w rozmowę. Przyznawał on, że nie dobrze się prowadzi, pomimo ciągłych zamiarów poprawy—że ubogim jest i nieszczęśliwym z powodu okropnego pijaństwa nałogu; i że to wszystko wreszcie pochodzi jedynie z gwałcenia Niedzieli. "Nieraz," mówił daléj, "chcę iść w Niedzielę rano do kościoła, ale cóż kiedy po drodze widać otwarte szynki; przechodzę spokojnie koło jednego lub drugiego—aż tu może przed trzecim stoi jaki dawny znajomy, i wciąga mnie za sobą. W ten sposób wszystkie moje dobre zamiary pełzną na niczém; wydaję pieniądze przeznaczone na utrzymanie rodziny—a potém ciężko pracować muszę przez cały tydzień i cierpieć głód przy bólu głowy i ociężałości." Nigdy nie zapomnę ostatnich jego słów, wymówionych z całą energią głębokiego uczucia, rozmowa ta bowiem otrzeźwiła biédnego człowieka. "Panie," rzekł, "jeżeli możni i bogobojni ludzie chcą nas uchować od pijaństwa, niechaj zamkną szynki i karczmy, te zatrute sidła na nas zastawione!"

PISMO ŚWIĘTE.

Błogosławiona ta księga najdroższym jest skarbem, który posiadać możemy, jedyną prawdziwéj mądrości krynicą. Opisuje ona Ewangelią Pana naszego i Zbawiciela Jezusa Chrystusa jako największe dobrodziejstwo udzielone rodzajowi ludzkiemu przez Boga—wskazuje nam sposób zmazania grzechów, pogodzenia się z Bogiem i otrzymania nieśmiertelności. Spodlone przez grzech stanowisko człowieka, i zbawienie przez Łaskę—oto dwie wielkie prawdy, do których się wszystko w Biblii odnosi.—Módlmy się zatém, żeby rozum nasz mógł je pojąć, a serce ocenić dostatecznie. Im więcéj czytać będziemy Pismo Święte w tém przekonaniu, tém więcéj je pokochamy,—tém czystsze stanie się życie nasze, a szczęście doskonalsze. Czytajcie je więc, przyjaciele moi, co dzień, i przyjmcie święte Jego przepisy za wzór waszego postępowania. Znajdziecie tam skuteczne na wszystkie tego świata przykrości lekarstwo—gdyż Biblia jedynie może uczynić śmierć mniéj straszną, i napełnić nas nadzieją wiecznego po za grobem szczęścia. Zaczynajcie dzień każdy modlitwą o błogosławieństwo Boże, a kończcie go dziękczynieniem. Unikajcie o ile można złych uczynków, słów i myśli—gorszącego towarzystwa i książek zepsuciem tchnących; niechaj nigdy kłamstwo na ustach waszych nie postanie, ani lekceważenie grzechu w myśli. Słowem strzeżcie się wszelkiéj rzeczy, przy któréj lękacie się wznieść oczy wasze do Boga, lub wezwać Jego pomocy. Niechaj pokora, skromność w całém postępowaniu, uszanowanie dla przełożonych, przychylność względem równych sobie i niższych, i zadowolenie wreszcie ze swego położenia, będą cechami waszego charakteru—słowem zawsze miejcie przed oczyma duszy waszéj słowa Apostoła Łukasza w rozdz. vi, wier. 31: "I cobyście chcieli aby wam ludzie czynili, tak i wy im czyńcie."—Postępując podług tych zasad, zapewnicie sobie przywiązanie cnotliwych i bogobojnych osób, ogólne poważanie, i co najważniejsze, błogosławieństwo Wszechmocnego nieba i ziemi Stwórcy. Oto są rady, udzielone wam przez daleko w wieku posuniętego przyjaciela.

ŁAGODNE OBCHODZENIE SIĘ ZE ZWIERZĘTAMI.

"Czy potrafisz się obejść bez bicza z swoim osłem?" zapytał pewien jegomość ogrodnika, który z warzywami do miasta podążał.

—"A jakże, panie! nigdy bata na niego nie potrzebuję; alé bo mój osieł taki rozumny i dowcipny, niejeden człowiek mu nie zrówna. Karmię go dobrze, obchodzę się z nim prawie jak z przyjacielem, i żadnéj z nim biedy nie mam. On doskonale zna domy, przed któremi stajemy, gdzie od nas jarzyny kupują; wié także kiedy Sobota wieczór, bo w Niedzielę nic nie robi, to jego dzień odpoczynku tak dobrze jak mój. Nie potrzeba bata na osła, kiedy kto się z nim dobrze obchodzi. Dobre słowo i pogłaskanie, to lepiéj jak plagi."

Ale dnia siódmego odpoczynienie jest Pana Boga twego; nie będziesz czynił żadnéj roboty weń, ty i syn twój, i córka twoja, sługa twój, i służebnica twoja, bydlę twoje, i gość twój, który jest w bramach twoich.—Exod. xx, 10.



MAŁE DZIECKO RZĄDZI DOMEM.

W dzień jarmarku pewien ekonom z przystojną młodą żonką, wszedł do magazyniku i zażądał kapelusika dla dziecka. Sklepowa otwiera szafę i podaje bardzo ładną kapotkę niebieską atłasową z długiemi szarfami i welonikiem. Pan ekonom podnosi, ogląda, chwali, ale zwracając się do żony, mówi : "Słuchaj no, Zosieńku, czy to nie za drogo na naszą kieszeń? dwadzieścia złotych!" Żonka nic nie mówiąc, bierze kapelusik i kładzie na głowę ślicznego dziecka, ach, jakże utrafiony! i z tryumfem podnosi dziecinę, żeby ją podziwiano. Cóż miał ojciec zrobić? sięgnął do kieszeni po woreczek, i zapłacił za stroik połowę miesięcznych zasług. Wychodzą z radością i dumą, niepomni, że sobie na przyszłość kłopot gotują, ubierając dziecię nad stan i możność.

Ależ, kochane dziatki, jakże was tu nie psuć, kiedyście takie ładne, takie rozkoszne i miłe, i w drobnych nawet nieposłuszeństwach macie tyle rozumu, tyle wrodzonego dowcipu. Spójrzmy na przykład na owego chłopczyka,—rozdąsał się na mamę, targa się za jasne kędziorki, dopiero co starannie zaczesane, rzucił się na ziemię w czystéj sukience, i trzepiąc nóżkami, nie daje do siebie dostąpić. Wartoby go ukarać, ale mamie żal— on taki mały, taki śliczny w tym uporze, twarzyczka zarumieniona od gniewu, podobna do różyczki! Jak będzie starszy, to będzie rozumniejszy, tego nie zrobi; prawda, że z wiekiem przychodzi rozsądek, ale i do nowych figlów i zdrożności przybywa koncept. Trzeba zawczasu do poprawy naginać, bo potém..... potém może być za późno.

Pewien Jegomość Porządnicki, widząc jak u przyjaciela dzieci przewracają ważne papiery, drą gazety, biorą bez pozwolenia książki i wydzierają kosztowne ryciny, nożyczkami tną drogie pokrowce na meblach, a nawet strzygą drogocenne dywany—zgorszony zawołał : "no, jak ja kiedy będę miał dziecko, to inaczéj będę je chował!" Przyszła kréska na Matyska, ma dziecko; ale i ono także, jak owe wyżéj wspomnione, drze gazety i książki, brudzi meble, strzyże suknie i dywany—a on? on tak samo ulega kaprysom i swawoli niegrzecznego dziecka.

Biedne lube dziatki! jednak pominąwszy to wszystko, musimy wyznać szczerze, iż niejednę wam zawdzięczamy naukę. Wszak to ta wychudła, delikatna rączka chorego niemowlęcia, wyciągnięta do swéj próżnéj i samolubnéj matki, pokonywa jéj wrodzony pociąg do światowości i do zabaw, budzi w niéj uśpione pojęcie swoich obowiązków! Zatwardziałe serce niejednego, na drodze występku już będącego człowieka, wzruszone bywa przez tkliwe wyrazy i uroku pełne pieszczoty swego dziecka; ale oby te wrażenia były trwałe, oby przyniosły owoce żywota wiecznego! A biada ci, ojcze, jeżeli z czasem pokrzywisz tę wrodzoną prostotę, jeżeli sam go przebiegłości nauczać będziesz i poprowadzisz na tę drogę zepsucia. gdzieś sam zniszczał. Ojcze, lub matko! radzę wam zwiedzić ku własnéj nauce więzienie lub dom kary i poprawy. Ci więźnie zatwardziali, te kobiety bez wstydu i uczucia, ach, to były kiedyś niewinne niemowlęta, jak te dziatki, które pieszcząc tulicie do siebie; i one były kiedyś kołysane przez kochające matki, i serca tych złoczyńców kiedyś były tkliwe i dobre,—ale zostały zaniedbane, albo zbyteczném zepsute pobłażaniem, albo téż zatwardziały przez nieprzezorną srogość rodziców, opiekunów lub panów. Tak z niewinnego kiedyś dziecka, stał się z czasem nieczuły człowiek; z chłopczyny, który u nóg babki z pokorą zginał kolana do modlitwy i z drżącym jéj głosem łączył miłe pienia chwały Boskiéj, stał sie bezbożnik zapamiętały! ze skromnéj i powabnéj dziewczynki, wyrosła bezwstydna grzesznica,—oto skutki niedbalstwa o młode pokolenie!

Gdy swięty nasz Zbawiciel był na ziemi, wtenczas matki przyprowadziły dziatki swe do Niego; ale srodzy ludzie bronili im przystępu! Czyż nie było tak zawsze, czyż nie jest tak i dziś? Czyż zbytkowemi naszemi potrzeby, dumą i nieczułém obejściem względem uboższych bliźnich i podwładnych nie bronimy przystępu dziatkom naszym do Zbawiciela? "Zaniechajcie dziatek, a nie zabraniajcie im przychodzić do mnie, bo takich jest królestwo niebieskie," oto dziś jeszcze brzmi głos syna Bożego, ale lud zepsuty nie chce go słuchać, broni przystępu innym. Gdy niegdyś uczniowie badali Pana Jezusa o tajemnicach królestwa Jego, przywołał do siebie małe dziecko, i postawiwszy między nich, rzekł, iż najmniejszy z nich będzie największym w Niebie. W każdym domu, przy stole, Chrystus Pan stawia małe dziecko wśród grona dorosłych.

Jeżeli chcesz wiedzieć, ojcze lub matko, jaka to wiara otwiera niebo, oto dziecko twoje,— przyciśnij je do serca, spojrzyj sie w to oko pełne miłości i zaufania, czytaj w tém źwierciedle duszy naukę życia wiecznego. Bądźcie względem Boga pokorni i miłujący jak dziecię wasze, a ono was poprowadzi do wiekuistéj chwały!

PIJAK I JEGO RODZINA.

Była to Wigilia Bożego Narodzenia, ów wieczór tak dla wszystkich Chrześcian drogi i miły— w ubogiéj izdebce na jednéj z bocznych ulic fabrycznego miasta, siedziały trzy dziewczynki, od dziewięciu do czternastu lat mieć mogące. Na kominku słaby płonął ogień—a w najdalszym rogu tego poddasza, stało łóżko starannie firankami zasłonięte. Przy świetle cienkiéj świeczki widać było smutne biednych dzieci lica, i oczy wlepione w to ciemne łoże, z którego od czasu do czasu wznosiło się westchnienie głębokie lubo ciche, jakby jęk ciężko umartwionéj i strapionéj duszy.

"Jadwigo," rzekło najmłodsze dziewczę do starszéj siostry, "śnieg ciągle pada, a ojciec jeszcze nie wrócił."

"Cicho, cicho, Maryniu," szepnęła tamta, "obudzisz mamę, która zdaje mi się właśnie zasnęła."

"Nie, duszko; ja nie śpię," odezwał się spokojny i łagodny głos z po za firanek,—"ale wkrótce zapewnie usnę innym snem, którym dotąd nigdy nie spoczywałam; przyjdźcie więc do mnie, dzieci kochane, i przybliźcie światło, a ty, Elżbieto, weź Pismo Święte i czytaj mi głośno."

"Matko droga, cóż mam ci przeczytać?" zapytała najstarsza córka.

"Naukę Chrystusa na górze," odrzekła umierająca niewiasta, i pilnie słuchała, ale przed końcem jeszcze rozdziału, okropny ją porwał kaszel, połączony z pluciem krwi, który ją do reszty osłabił i wycieńczył. "Nie długo już będzie po wszystkiém," wymówiła nareszcie, "o! jakże pragnę, żeby ojciec wasz przyszedł— ale nadaremnie, bo godzin jeszcze kilka zapewnie upłynie przed jego powrotem." W kilka minut późniéj kazała dzieciom uklęknąć na około jéj łoża—i zaczęła się modlić. Nie raz tę ostatnią duchową z Bogiem rozmowę przerwały gorzkie córek łkania, nie raz téż nowy napad suchót, téj strasznéj choroby, która ją tak wcześnie wpędzała do grobu. Modliła się długo—modliła gorąco za dzieci swe i nieobecnego męża. "Błogosław go, o Boże," mówiła słabym i odrywanym głosem, "dozwól, żeby poznał swe grzechy i rozpoczął lepsze prowadzić życie!" Potém szepnęła jeszcze omdlewająco : "Ucałujcie mnie, dzieci drogie, po raz ostatni—kochajcie się między sobą—kochajcie i biédnego ojca waszego—i powiedzcie mu, że modliłam się za niego......"

Ale czas już obznajomić naszych czytelników z bliższemi o téj rodzinie i nieszczęściu jéj obecném szczegółami. Piętnaście lat temu ta niewiasta, któréj oczy tak gorączkowym płoną blaskiem, na któréj zwiędłém przedwcześnie i zapadłém licu widać przy migającém ognia świetle ów przerażający, suchotniczy, blizką śmierć zwiastujący rumieniec,—piętnaście lat w tył, powtarzam, ta niewiasta była młodą i w porównaniu bogatą. Jedyna, poważanego ogólnie kupca córka, w kwiecie młodości obrała sobie za męża Karola S., syna również majętnego człowieka. Młodość, zdrowie, dobre na przyszłość widoki, przywiązanie wspólne,—słowem wszystko zdawało się zapowiadać radosnym ich sercom szczęście i pomyślność. Ale piętnaście lat wielkie sprawiły zmiany. Piękne nadzieje i widoki spełzły na niczém—ów niegdyś tak dobrze się prowadzący i kochający Karol, zanurzył się głęboko w kałuży upajającego kielicha, który już nie chciał opuścić swéj zdobyczy. Przez lat kilka wszystko im się dobrze wiodło—mąż jéj był przemyślny i pieniędzy nie brakło—ale z czasem polubił bezczynność i zabawy, zaniedbywał swe zajęcie, i w skutek tego stracił gotowiznę, kredyt, dobrą sławę, a nareszcie towary jego zabrane zostały za długi niezapłacone. Zamiast pomiarkować się wtedy, spadał co raz niżéj i niżéj na szczeblach towarzyskiego położenia, i w chwili naszego opowiadania od kilku już lat zatwardziałym był i niepoprawionym *pijakiem!*

Nie raz strapiona żona szukała go od jednego szynku do drugiego i wszelkiemi starała się sposobami przyciągnąć go do domu,— ale rzadko bardzo pomyślny odnosiła skutek. Podczas jesiennych deszczów i zimy śnieżnych zamieci, chodziła za nim jak Anioł Stróż, z prośbą i błogosławieństwem na ustach;—ale on prośbę odrzucał, błogosławieństwem gardził.



Okrutne męża obejście, wystawienie na niepogodę, brak wzmacniającego pożywienia, a przede wszystkiém zmartwienie, przywiodły nieszczęsne stworzenie do suchót—a teraz, leżała w téj nędznéj izdebce na progu życia i śmierci..... Dwie dziewczynki, zmęczone płaczem, usnęły; trzecia tylko, Jadwiga, czuwała jeszcze. Ogień wyszedł oddawna, bo nie było więcéj drzewa do podłożenia, a świécę, ostatnią w całym domu, trzeba było zgasić kiedy matka objawiła życzenie spoczynku. Na dworzu tymczasem gwiazdy jasno świeciły, a w pokoiku okna trzeszczały od uderzenia śniegu pędzonego przez silny wicher. Jadwiga długo siedziała, w milczeniu przysłuchując się wyciu wiatru—marząc o nędznym ich domku, o rodzinie swéj w przyszłości: jak pocieszać będzie i pielęgnować swą matkę w póżnym wieku, jeżeli jéj Bóg życia dozwoli. Znużenie jednakże i myśli krążące w małéj jéj główce, uśpiły ją nareszcie; a we śnie zdawało jéj się, że jest w ogrodzie pełnym cudnéj piękności kwiatów— z ojcem swym i matką, siostrami i maleńkim braciszkiem, którego przed wielu laty Pan Bóg powołał do siebie—zdawało się, że ojciec przestał być pijakiem, a matka znowu zdrowa—słowem że szczęście nareszcie zawitało pod skromną ich strzechę. Biédne dziecię cieszyło się właśnie tém szczęściem, kiedy je obudziło wołanie stróża nocnego, głoszącego dwunastą godzinę. Zarzuciwszy prędko chustkę na siebie, pobiegła na dół po światło i przywitaną została temi słowy przez starego stróża, który ją znał od lat wielu: "Wesołych świąt, kochanie—czy ojca twego jeszcze nie ma w domu?" "Jeszcze nie," odparło dziewczę, "ale wkrótce zapewnie przyjdzie, i mama także nie długo wyzdrowieje."

"Mam nadzieję, że tak będzie," odpowiedział na to, ale gdy Jadwiga, życzywszy mu dobréj nocy, odeszła z zapaloną świecą, dodał półgłosem, smutnie głową kiwając: "Wątpię jednak czy to się sprawdzi—w każdym razie niech cię Bóg błogosławi, bo dobrém jesteś dzieckiem," i odchodząc na nowo rozpoczął wołać: "Północ, północ!" przytłumionym wprawdzie głosem, gdyż blade światełko migało w okienku poddasza, gdzie leżała umierająca niewiasta.—Wkrótce drzwi domku znów się otworzyły, i wszedł chwiejącym krokiem jakiś człowiek z twarzą rozognioną i nabrzmiałą, z wzrokiem błędnym; na jego wykrzyk: "Pokaż no jakie światło, dziewczyno," Jadwiga czém prędzéj zbiegła poświecić biédnemu jéj, pijanemu ojcu. Ale gdy przystąpiwszy do łoża choréj, zawołał: "Wesołych świąt, Maryo," dziewczę szepnęło błagalnym głosem: "Cicho, ojcze. cicho—mama śpi."—"To poświeć mi tutaj," odparł pijak, "zobaczemy czy lepiéj wygląda."—Jadwiga spełniła dany jéj rozkaz, ojciec odgarnął firanki—lecz gdy światło padło na te lica bladością marmuru pokryte, krzyk głośny, przeraźliwy, wyrwał się z piersi nieszczęsnego człowieka..... Matka jego dzieci głębokim w istocie spoczywała snem,—ale był to sen śmierci.

Umarli wkrótce pogrążeni są w zapomnieniu— przez kilka jednak miesięcy Karol był trzeźwiejszy —ale potém, wpadłszy znowu w dawne sidła— co raz więcéj się zanurzał w kałuży upadku i zepsucia, aż nareszcie w obłędzie pijaństwa, sprzedał resztę swéj własności i córki swe wypędził w świat daleki.

Wiele od tego dnia upłynęło czasu, wiele razy ziemia pokryła się zielonością i kwieciem—jednéj spokojnéj i cichéj letniéj nocy, w Domu Przytułku Ubogich, leżał niedaleko okna starzec ostatnią w tym świecie złożony chorobą. Życie jego szybkiemi upływało kroki, życie, które było jedném prawie pasmem egoizmu, grzesznéj bezczynności i upadku. Przy nim siedziała młoda kobieta i ścierała pot śmiertelny pokrywający czoło umierającego, który z trudnością mówił te słowa: "Niech cię Bóg błogosławi, Jadwigo, córko moja; wkrótce już mnie nie będzie—o! gdybym był prowadził życie pracowite i trzeźwe, unikał téj piekielnéj wódki—mógłbym teraz posiadać majątek, poważanie ludzi, a co więcéj czyste w chwili śmierci sumienie..... Jadwigo, czy przebaczasz mi?"

"Tak jest, ojcze—ale módl się do Boga o przebaczenie."

Starzec wlepił oczy swe szkliste w oblicze córki, i konwulsyjnie ścisnąwszy jéj dłoń, szepnął jeszcze ostatniém wysileniem: "Gdyby nie *pijaństwo*, byłbym teraz *dobrym* człowiekiem."

Potém zamilkł na wieki—ręka jego zwolna się otworzyła i opadła bezwładna—duch jego opuścił tę ziemię, na któréj nie zostawiał żadnéj w dobrym uczynku po sobie pamiątki. Jasne księżyca promienie oświecały dwie blade twarze—jednę łzami zalaną Jadwigi, drugą nieruchomo spoczywającą, ojca, którego oczy nigdy już ujrzéć nie miały światła dziennego.....

Czytelniku, powiastka ta nie jest wymysłem wyobraźni—Karol S. na prawdę żył i nędzne nareszcie życie zakończył w Domu Przytułku Ubogich, podczas gdy koledzy jego w tém samém mieście, którzy z mniejszemi daleko zasobami rozpoczęli swój zawód, przez pracę, wytrwałość i umiarkowanie doszli do tego, że własnemi jeździli powozami.—Lecz Karol przywiązał się całą duszą do tęgich napojów—i to go przyprowadziło do zguby doczesnéj i wiecznéj.

OKRUCIEŃSTWO.

"Patrzcie jak ten niegodziwy chłopiec biednego osła obładował ciężarem, i do tego nielitościwie go kijem okłada! No, popamięta on to, nie czeka go nic dobrego; nie tylko że straci biedne zwierzę ale jemu samemu zły koniec grozi. Pan Bóg stworzył zwierzęta i dał nam je ku pomocy i usłudze, ale pomści okrucieństwa nad stworzeniami, które ani się użalić ani poskarżyć nie mogą."

Trzeba dodać, że w wychowaniu dzieci, a mianowicie po miastach, za mało się zwraca uwagi na biedne zwierzęta. Nawet przy zabawie nie powinno się pozwalać dzieciom srogiego obchodzenia, choćby z nieżyjącemi istotami.

Wszystko pismo od Boga jest natchnione, i pożyteczne ku nauce, ku strofowaniu, ku naprawie, ku ćwiczeniu, które jest w sprawiedliwości.—II Tym. iii, 16.

Wierz w Pana Jezusa Chrystusa, a będziesz zbawiony, ty i dom twój.—Dz. Apost. xvi, 31.

SAM NA SAM Z BOGIEM,

CZYLI

NAWRÓCONY BLUŹNIERCA.

Pewien obywatel, słysząc jakiegoś rzemieślnika miotającego okropnemi przekleństwy wśród licznego towarzyszy grona, rzekł doń, iż musi być równie bezbożnym jak tchórzliwym, osobliwie kiedy klnie w obecnosci innych osób, nie śmiejąc uczynić tego w samotności. Bluźnierca odparł zuchwale, że nie lęka się kląć w jakiémkolwiek miejscu i o którejkolwiek godzinie.

"Dam ci dukata," powiedział na to szlachcic, "jeżeli pójdziesz dziś o północy na cmentarz, i powtórzysz, sam na sam z Bogiem, przekleństwo dopiero co tu wymówione."

"Zgoda," zawołał rzemieślnik, "a to mi łatwy sposób zarobienia dukata!"

"Dobrze więc," zakończył obywatel, "przyjdź do mnie jutro i powiedz, żeś to wykonał—a otrzymasz przyrzeczone pieniądze."

Dzień prędko przeminął—nadszedł wieczór, a wreszcie i północ. Robotnik nasz udał się na cmentarz — noc była ciemna i posępna; kiedy wstępował do miejsca spoczynku umarłych, najmniejszego nie słychać było szelestu lub głosu —dokoła grobowa panowała cisza. Wtedy to słowa: "Sam na sam z Bogiem," ogarnęły wyobraźnią jego z nadzwyczajną potęgą. Myśl o bezbożności swego postępowania i zamiaru, w którym tu przyszedł, przeleciała umysł jego podobnie do nagłéj błyskawicy, i napełniła go przerażeniem i zgrozą. Lękając się postąpić o jeden krok daléj, upadł na kolana i zamiast okropnych przekleństw, które przyszedł wymówić, szczery ten i błagalny krzyk wydobył się z jego piersi: "Boże, bądź miłościw mnie grzesznikowi."

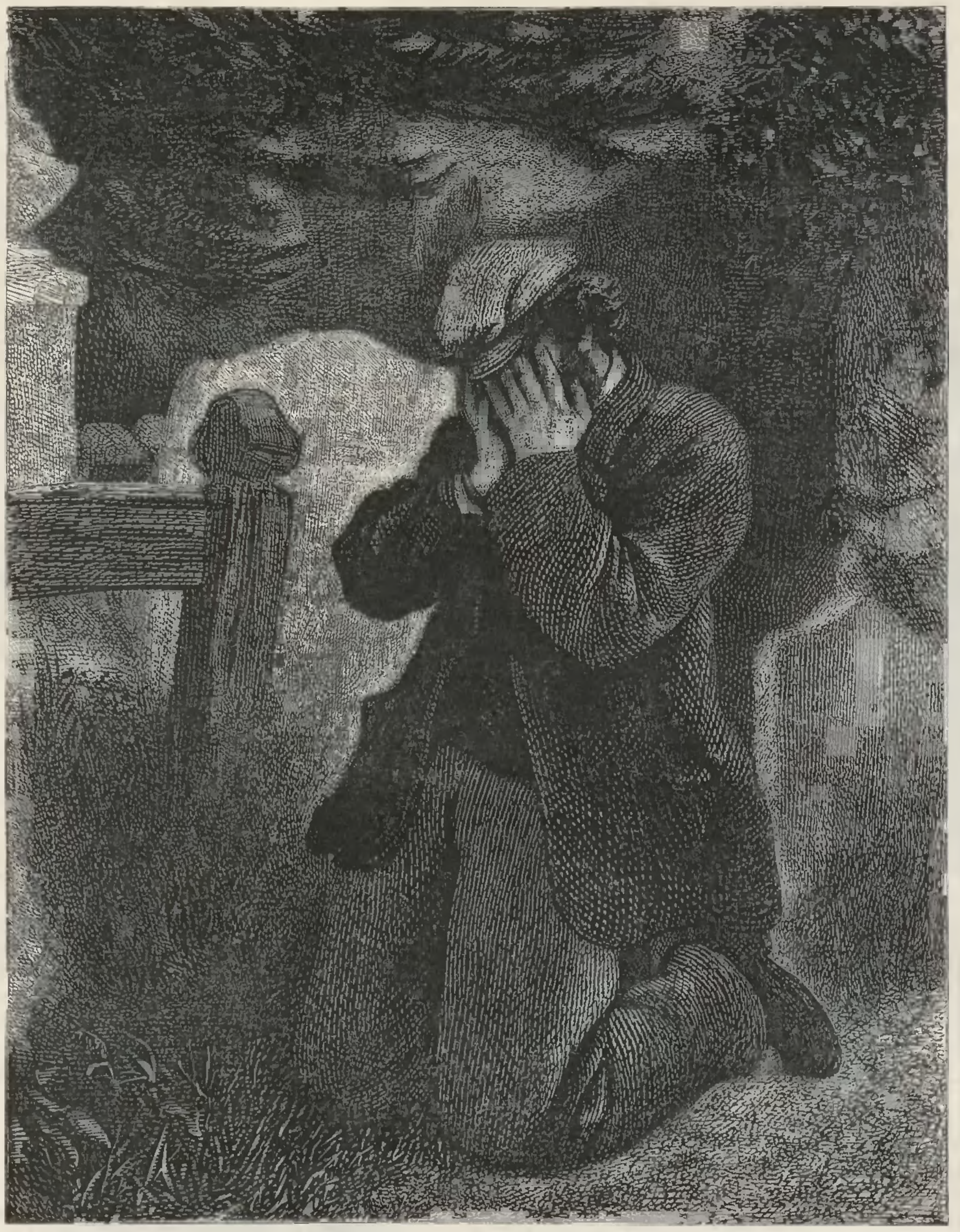
Nazajutrz, poszedłszy do wzmiankowanego powyżéj obywatela, złożył mu gorące dzięki za to co dla niego uczynił, i przyrzekł zarazem, że odtąd przy pomocy Bożéj żadne nie przejdzie ust jego przekleństwo.

Boć jeden jest Bóg, jeden także pośrednik między Bogiem i ludźmi, człowiek Chrystus Jesus.

I Tym. ii, 5.

POTĘGA CHRZEŚCIANIZMU
MIĘDZY INDYANAMI.

Znaczna gromada Indyan, którzy byli nawróceni przez kazania Morawskich misyonarzy, osiadła na Zachodzie w Zjednoczonych Stanach Północnéj Ameryki, gdzie ich prostota, niewinność i zgodne pożycie zdawały się być odnowieniem lepszych dni chrześciaństwa. Podczas rewolucyjnéj wojny z Anglią, te osady, nazwane Lichtenau i Gnadenhutten, będąc położone w miejscu dawnych bójek indyjskich, wystawione były na napaści obu stron walczących. Zostając jednakże pod nauką i wpływem białych i przyjąwszy ich religią i cnotliwą



część ich obyczajów, bardzo naturalnie obawiali się, ażeby nieprzyjaźni Indyanie, napadając amerykańskie granice, nie korzystali z ich bezwładności i wytępili ich jako sprzymierzeńców białych. Następne wypadki stawiają nas w możności porównania czerwonego człowieka z białym i oznaczenia, który z nich jest dzikim. Oddział dwustu Huronów zbliżył się groźnie do Morawsko-indyjskiego miasta. Chrześciańscy Indyanie zachowali się w téj dręczącéj ostateczności z niezachwianą łagodnością i stałością. Wysłali posłów *z żywnością* do zbliżającego się nieprzyjaciela i powiedzieli mu, że słowo Boże nauczyło ich żyć ze wszystkiemi ludźmi w spokojności, i błagali go o pokój i opiekę dla siebie i dla swoich białych nauczycieli. I cóż na to odrzekł świeżo z puszczy wyszły dziki i krwi łaknący najeźdzca? Czy wydrwił i wyszydził łagodne i chrześciańskie wezwanie? Czy odpowiedział na nie wojenném "hurra" i poprowadził swoich ludzi do łatwego wyrżnięcia swoich wrogów? Czegoż innego można było oczekiwać od Indyanina? Jednakże *nie* taka była odpowiedź czerwonego wojownika. Wyznał on, że wybrał się na wojnę, że jego serce było złe i jego celem krew, lecz słowa jego braci otworzyły mu oczy. Nie chiał żadnéj wyrządzić im szkody. "Słuchajcie waszych nauczycieli," rzekł, "wielbijcie waszego Boga i nie bójcie się. Włos z głowy waszéj nie spadnie."— *Sędzia Konrad.*

NAWRÓCONY

CIEŚLA OKRĘTOWY.

Pobożny jeden kapitan okrętu miał statek, bardzo już czasem i burzą zniszczony; groziło mu zniszczenie zupełne nie tylko okrętu ale i ładunku, za który był odpowiedzialny. W tak krytyczném położeniu zachował jednak dziwną przytomność i spokojność umysłu; nie zaniedbując wszelkich środków możliwych ku zabezpieczeniu swego i poruczonego mu cudzego dobra —polegał na Opiece wyższéj nad ludzką.

Zajął się naprawą swego statku, i udało mu się dostać bardzo zdolnego cieślę okrętowego, ale który, jak sam o sobie twierdził, nie bał się ani Boga ani ludzi: przy pracy nie szczędził ani przekleństw ani szemrania. Po niejakim czasie poczyna on wszelako porównywać postępowanie kapitana z swojém własném, mówiąc do siebie: "Jakże się to dzieje, ja co nie mam nic do stracenia, ciągle klnę i piorunuję; kapitan zaś może co chwila stracić swój majątek i dobre imię, a taki sobie spokojny? Czyby to jego pobożność mu zapewniała taki spokój? Widzę, iż często wyjmuje swoją Biblią i czyta w niéj; mam i ja taką książkę; jeszcze mi ją kiedyś matka zapakowała do tłomoczka, gdym się w drogę wybierał. Trzeba spróbować, może z niéj dojdę jaka to jest jego religia?"

Dobył téj Księgi Żywota, czytał i czerpał z tego zdroju, a Duch Święty objawił mu swą prawdę; przekonał się, że jest nędznym grzesznikiem, i że bez téj pobożności, któréj owoców dostrzegł w swoim kapitanie, na wieki byłby stracony. Upamiętał się i nawrócił zupełnie; potém już nie przekleństwa lub niecne przysięgi, ale pobożne pieśni i modlitwy towarzyszyły jego pracy, jak przystoi na prawego chrześcianina.

HYMN PORANNY.

Kiedy ranne wstają zorze,
Tobie ziemia, Tobie morze,
Tobie śpiewa żywioł wszelki:
Bądź pochwalon, Boże wielki!
Wielu snem śmierci upadli,
Co się wczoraj spać pokładli;
My się jeszcze obudzili,
Byśmy Cię Boże chwalili.
A człowiek, który bez miary
Obsypany Twemi dary,
Coś go stworzył i ocalił,
A czemuż by Cię nie chwalił.
Wszystko Cię mój Boże chwali,
Aleśmy i to poznali,
Że najmilszą Ci się zdała
Pracującéj ręki chwała.

Nie bierz imienia Pana Boga twego nadaremno, bo się Pan mścić będzie nad tym, który imię Jego nadaremno bi e.

Exod. xx, 7.

DOMOWE WYCHOWANIE.

Nie ma przekleństwa, któreby okropniéj ciężyło na człowieku, jak być zrodzonym w bezbożnéj rodzinie, w któréj głos modlitwy i chwały nigdy nie wznosi się do Boga i gdzie węzły ludzkiego przywiązania nie są oczyszczane i podnoszone przez okrzesający wpływ religijnego uczucia. Takie rodziny wydają synów niepohamowanych w złych myślach, nieuświęconych w obyczajach, niepowściągliwych w namiętnościach i nieprzyuczonych do miłowania Boga i najbliższych i najdroższych sercu ich istot.



"Wysłali posłów *z żywnością* do zbliżającego się nieprzyjaciela."

Londyn: S. W. PARTRIDGE, 9, Paternoster Row.